Alfred Coppel

Najeźdźca

(The Invader)

Imagination Stories of Science and Fantasy, February 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "The Invader" by Alfred Coppel, first publication in Imagination Stories of Science and Fantasy February 1953, published by Project Gutenberg, June 4, 2010 [EBook #32684].
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Imagination Stories of Science and Fantasy February 1953. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.".
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Triomed ruszył ukradkiem po podłodze ciemnej celi, w stronę skulonej w kącie, śpiącej postaci. Po długiej, samotnej podróży bliskość nosiciela napełniła Triomeda uczuciem niecierpliwego wyczekiwania.

Mały statek kosmiczny, który przywiózł go do tego bujnego układu planetarnego z dala od serca galaktyki, spoczywał dobrze ukryty. O ile mógł stwierdzić, jego lądowanie nie zostało wykryte i tak powinno być – przecież był Triomedem i naukowcem. Jednym z najlepszych w służbie swej wymierającej rasy. To jest, wymierającej aż do teraz, pomyślał. Rasa Triomedów nie będzie już słabnąć i umierać z powodu braku odpowiednich nosicieli. Ta trzecia planeta żółtego słońca była rajem pełnym stałocieplnych dwunożnych ssaków…

Śpiące stworzenie poruszyło się niespokojnie, jakby wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo. Triomed zamarł w bezruchu. Wiedział, że to mało prawdopodobne, aby można było go dostrzec, chociaż zmysł wzroku był dla niego tylko zsyntetyzowaną abstrakcją. Nie należał on do zestawu jego własnych zmysłów, ale udało mu się wykryć z dużej odległości, że prawie każda żywa istota na tej planecie odbierała wrażenia zmysłowe poprzez pewne wyspecjalizowane organy zamontowane na swej konstrukcji i wewnątrz niej. Oczywiście były tu także rośliny, tak jak na Triomie, ale one nie były ważne.

Były również wirusy i kiedy odkrył ten fakt przestraszył się, że przybył za późno. Ale pierwsze próby nawiązania porozumienia, uwolniły Triomeda od obaw. Miejscowe wirusy były prymitywne; zupełnie nie przypominały jego znakomitych przodków ze starożytnego Triomu.

Śpiący dwunożny odprężył się, a Triomed znów posunął się odrobinę do przodu. Stanowił płaską, niemal dwuwymiarową smugę błyszczącej materii, na podłodze przed dwunożnym.

Z dużej wysokości ponad nocną stroną planety, Triomed wyczuł miasto. Zaabsorbował jego kształt, rozmiar i co ono oznaczało, kiedy jego statek opadał w ciężkim, bogatym w tlen powietrzu. Nie wystarczało, że jego przyrządy mówiły o odpowiednich gospodarzach. Był naukowcem i wierzył tylko w bezwzględne dowody. Poza tym długo przebywał w kosmosie – pozbawiony satysfakcjonującego poczucia nosiciela – i tęsknił za kontaktem, dominacją nad stałocieplnym stworzeniem.

W jaskrawo lśniącym wzorcu miasta znajdował się ciemny fragment. Wyspa samotności pośród niezliczonych punkcików światła. To tam wylądował swoim małym statkiem badawczym i ukrył go wśród gęsto otoczonych drzewami polanek. Niemal natychmiast wyczuł bliskość wielu stworzeń. Owady, rośliny, stałocieplne czworonogi i dwunogi. Wśród drzew było mnóstwo maszyn, budynków i krętych dróg. Ciemność zakryła jego

ruchy, aż w końcu znalazł się w pobliżu śpiącej istoty, gotów do infiltracji i przejęcia nad nią władzy.

Lśniący kształt wyciągnął się, zmienił się w nitkowate włókno, niemal grubości pajęczyny. Dotknął ciała śpiącego i zadrżał z przyjemności. Ostrożnie Triomed przesunął się w górę po owłosionej nodze, niewidzialne pasemko obcego życia, przywierające do ciepłej skóry. Wkrótce pasemko znalazło otwór, którego szukało. Wśliznął się niepostrzeżenie w wilgotne ciepło nozdrza śpiącego, przedostał się przez kanalik łzowy do przestrzeni za gałką oczną. Tutaj zaczął sondować przez mięśnie i błonę wzdłuż podstawy mózgu, szukając szyszynki.

I znalazł ją, spenetrował, zwijając się jak mikroskopijny wąż w gruczole. Przez Triomeda przeszła fala przyjemności. Tu było bezpiecznie. Gospodarz był duży, potężny i tryskający życiem. Triomed szybko zdobył dominację. To było szokująco łatwe. Umysł stworzenia był niedojrzały, prymitywny. Przez chwilę walczył, a potem umarł, gdy obcy zatruł centra tożsamości w mózgu.

Przez nieznane mu narządy zmysłów wlewały się nowe doznania. Odgłosy odległego miasta, słabe dźwięki wielu żywych stworzeń w ciemnościach. Odbierał zapachy, obrazy i wrażenia dotykowe zewsząd wokół siebie – zostały one ocenione i zapisane w atomowej strukturze Triomeda.

Był teraz przygotowany, pomyślał z satysfakcją, do dalszych badań. W przebraniu miejscowego dwunoga mógł swobodnie wędrować wśród tubylców. Pozostał jednak w pozycji siedzącej, dopóki nie zapoznał się ze swoim gospodarzem.

Miał dwa połączone stawami wyrostki, przymocowane do tułowia w miejscu blisko i nieco poniżej pojemnika czaszki. Kończyły się one skomplikowanymi zakończeniami, składającymi się z pięciu połączonych palców. Ten sam wzorzec powtórzony został na dolnym końcu tułowia, ale znajdujące się tam kończyny były przystosowane do przenoszenia znacznego ciężaru stworzenia. W obrębie tułowia znajdowały się zwyczajowe wnętrzności na ogół występujące u istot stałocieplnych: płuca, jelita, żołądek, wątroba, pęcherz, narządy rozrodcze oraz różne gruczoły wewnątrz i poza kanałowe. Dla Triomeda było oczywiste, że jego obecne ciało pozostawało w doskonałym zdrowiu. Był bardzo zadowolony.

Po kilku ostrożnych eksperymentach Triomed wstał. Jeśli istniała właściwa metoda wyjścia z kabiny, w której się znajdował, nie została ona odciśnięta w mózgu dwunożnego. Obcy zrobił sobie chwilę przerwy. Mógłby oczywiście określić właściwą metodę poprzez żmudny proces prób i błędów, ale wymagałoby to czasu, a nie miał ochoty marnować godzin ciemności. Zauważył, że jedna ze ścian składała się z pionowych słupków, zamocowanych w podłodze i suficie. Za nimi widział ciemny las i blask nieba miasta. Odpowiedzią była więc zwykła siła. Nie wątpił, że w muskulaturze nosiciela było wystarczająco dużo siły, by odkształcić słupki.

Jego założenie było zupełnie poprawne.

Po przedostaniu się przez wygięte słupki, ruszył wąskim przejściem otoczonym kabinami podobnymi do tych, z której wyszedł. Poruszały się w nich lub leżały śpiąc, ciemne kształty. Niektóre były niespokojne, inne nie. Ale nikt nie podniósł alarmu. Triomed dotarł do końca chodnika, z łatwością pokonał ogrodzenie i stanął na mokrym trawniku, opadającym lekko od niskiego, ciemnego budynku w stronę lasu.

Usłyszał za sobą krzyk. Wąski snop światła przeszył noc, kołysząc się tam i z powrotem, szukając poruszających się postaci. Przelotnie dostrzegł małego dwunożnego biegnącego chodnikiem w stronę kabiny, którą opuścił.

Triomed ruszył w stronę lasu długim, powolnym krokiem, który pokonywał kolejne metry z niewiarygodną szybkością. Szukające światło nie znalazło go. Gdy znalazł się wśród drzew, zatrzymał się i ustalił kierunek dalszej drogi. Las nie był gęsty. Przez liście widział światła miasta. Zaczynały się one już na samym skraju drzew, gdzie widać było szeroką, otwartą przestrzeń. Obok lasu przejeżdżały z zapierającą dech prędkością pojazdy kołowe.

Jeśli był jakiś pościg, to nieskuteczny, jako że Triomed przedostał się przez las bez przeszkód, aż stanął na skraju alei, osłonięty cieniem wielkiego drzewa. Zauważył, że większość ruchu stanowiły pojazdy. Pieszych było niewielu. Na podstawie hałasu i odoru sklasyfikował pojazdy jako napędzane silnikami spalinowymi, spalającymi węglowodory. Prymitywne. To dobrze, pomyślał. Kiedy floty Triomu spadną na tę planetę, nie będzie na niej wiedzy naukowej godnej tej nazwy, która mogłaby im się przeciwstawić.

Zaczekał, aż w potoku pojazdów pojawi się przerwa, po czym pewnie ruszył przed siebie, przechodząc przez aleję. Kiedy dotarł na drugą stronę, usłyszał pisk hamulców i zniekształcony, duszący dźwięk. Nie obejrzał się za siebie, aby odkryć źródło zakłóceń, dopóki nie dotarł do schronienia w cieniu budynku, po drugiej stronie graniczącego z ulicą chodnika.

Pojazd zatrzymał się ukośnie w stosunku do pasa drogi, którym się poruszał, a jego jedyny pasażer, dwunożny o bardzo bladej twarzy, gapił się tępo w stronę kryjącego się Triomeda.

Po raz pierwszy obcy poczuł ukłucie lęku. Czy na pewno nie zrobił nic niezwykłego, przechodząc pieszo przez otwartą przestrzeń? Może jednak wśród tubylców istniały jakieś plemienne tabu i tradycje, których nie można było zignorować bez przyciągania uwagi.

Triomed obiecał sobie, że w przyszłości w takich sprawach zachowa większą ostrożność. Zbyt wiele zależało od tego rekonesansu, by pozwolić sobie na nieostrożność.

Przekradał się zacienionymi miejscami między kolejnymi budynkami, aż szeroka autostrada pozostała daleko za nim. Miał świadomość, że wszędzie wokół niego tętni życie – w budynkach, w jadących ulicami pojazdach. A jednak, jakiś dziwny impuls, pochodzący z odrętwiałego mózgu nosiciela, a nie jego własnego, kazał mu się kryć. To, jak uznał z

uczuciem podobnym do irytacji, nie było właściwe. Jeśli jego badania miały mieć jakąkolwiek wartość, powinien wędrować swobodnie i bez obawy o wykrycie, bezpieczny w zdobytym przebraniu.

W krótce dotarł do ulicy, na której przepychały się nawzajem potoki dwunożnych, a każdy z nich miał najwyraźniej swój własny trudny do pojęcia cel. Przez dłuższą chwilę obserwował ich z ukrycia koło jednych z drzwi, klasyfikując i integrując informacje, dostarczane mu przez bystre oczy gospodarza. To było cudowne. Wszędzie pełno było nosicieli każdego rozmiaru i rodzaju – ich podaż była wręcz nieograniczona. Wystarczyłoby ich dla całej populacji Triomu. To nie do uwierzenia, ale nie było żadnych wątpliwości. A to było tylko jedno skupisko. Jedno miasto. Ze stratosfery widział setki podobnych. Raj! Wyobraził sobie lądujące floty Triomu, wyłaniających się ze statków i infiltrujących Triomedów. Ta myśli wzbudziła w nim dumę i niecierpliwość. To było takie proste ...

Postanowił nie zwlekać. Czuł już, że zdobył potrzebne dowody i że powinien natychmiast wrócić na swój statek. Triom musiał się o tym natychmiast dowiedzieć. Komunikator na statku będzie mógł przekazać tę wiadomość, gdy tylko jego pojazd osiągnie odpowiednią odległość od masy planetarnej. Pójdzie z powrotem, weźmie statek na górę, wyśle wiadomość, a następnie wróci do swego nosiciela, aby zaczekać na innych członków swojej rasy.

Podjąwszy tę decyzję, wyszedł pewnie w tłum dwunożnych, szukając najkrótszej drogi powrotnej do ukrytego statku.

Rezultat był natychmiastowy i niesamowity.

Tłum cofnął się z krzykiem i wrzaskiem, pozostawiając go stojącego pośrodku kręgu trupiobladych twarzy.

Za pierwszym rzędem dwunożnych widział innych biegających we wszystkie strony i wrzeszczących na całe gardło. Hałas ten w połączeniu z odgłosami miasta był bardzo nieprzyjemny. Triomed zaczął się bać.

Ruszył szybkim marszem, a tłum rozstępował się przed nim ze znacznie głośniejszym piskiem. Tu i ówdzie jakiś dwunożny, najwyraźniej odważniejszy od innych, wykonywał groźne ruchy niesionymi tobołkami lub zaciśniętymi pięściami. Jakiś pakunek uderzył go w ramię.

Triomed zaczął biec. Zauważył po raz pierwszy, że górował głową i ramionami nad większością pobliskich dwunożnych, a mózg jego gospodarza zinterpretował otaczającą go aurę, jako nienawiści i strachu.

Tłum rozpraszał się szaleńczo na jego widok, ale podążał za nim. Panika zaczęła ściskać obcego. Co zrobił źle? Gdzieś rozległ się zawodzący dźwięk – pojazdy z rażącymi czerwonymi światłami przemknęły obok niego z wściekłym, natarczywym hałasem. Poczuł kłujący ból w jednej nodze i zerknął w dół, by zobaczyć, że jest ona pokryta smugami czerwieni.

Przed nim utworzył się szereg dwunożnych, ubranych w identyczne niebieskie worki z materiału, wysypujących się z zatrzymujących się pojazdów. Triomed stanął, wyczuwając śmiertelne niebezpieczeństwo. Za

nim huczał tłum. Przed nimi stały błękitne dwunogi, trzymające jakieś artefakty, które jak Triomed nawet nie wątpił, musiały być bronią.

Po obu stronach nie otwierała się żadna ulica. Został uwięziony między bronią, tłumem i dwoma wysokimi budynkami. Wahał się tylko przez chwilę. Desperackim skokiem rzucił się do drugiego poziomu okien najbliższego budynku i przywarł do jednego z nich, dysząc.

Pojawiło się stworzenie o białej twarzy i zaczęło szturchać go stalowym prętem, który płonął jak ogień, gdy dotknął ciała jego nosiciela. Stwór przez cały czas przenikliwie krzyczał.

Z łkaniem Triomed wskoczył na parapet okna i zaczął się wspinać do góry, w stronę dachu budynku. To była długa droga, a ból w nodze i poparzonym ramieniu jeszcze go spowalniał. Nie odważył się w tej chwili uwolnić od swojego nosiciela, ponieważ był za daleko od swojego statku, by móc na niego wrócić w naturalnej postaci.

W dole na ulicy, znajdowały się reflektory, które oświetlały go, gdy przywarł do pionowej fasady budynku. Panika pchnęła go do góry. Z ulicy dobiegł ciągły, zawodzący ryk, przepełniona strachem ohydna kakofonia. Triomed czuł się słaby z przerażenia, którego część należała do jego gospodarza, a część pochodziła z jego własnego wnętrza. Przerażenie i strach wywołane niewiedzą, co się stało i dlaczego znalazł się obecnie w takim niebezpieczeństwie.

W końcu dotarł na dach. Przeciągnął się przez jego brzeg i leżał tam przez chwilę, z boleśnie falującymi bokami. Potem zesztywniał z nowej grozy. Nie był sam. Dach nie był pusty. Dwudziestu lub więcej uzbrojonych dwunożnych zablokowało go w jego trójkątnym narożniku. Wstał i zatoczył się do tyłu. Broń była wycelowana prosto w niego. Cofał się, dopóki nie zatrzymał go rant dachu, ostrzegając przed upadkiem na znajdującą się daleko w dole ulicę.

Od zbrojnej masy oddzieliła się postać. Poczuł błysk rozpoznania – częściowo jego własny, częściowo nosiciela. Był to mały dwunożny, którego zauważył w wiązce reflektora, biegnącego w kierunku kabiny, którą opuścił wydawałoby się tak dawno temu.

Mały stwór zaczął coś mówić, wydając ciche, kojące dźwięki, przez cały czas przesuwając się do przodu z maleńką szklaną fiolką w rękach.

Nie wiedząc dlaczego, Triomed poczuł, jak jego usta odrywają się od zębów w grymasie wściekłości. Usłyszał głębokie, dudniące warczenie w gardle. Dwunożny zatrzymał się, a Triomed poczuł jego nagły strach.

Poczuł, jak ogarnia go niezrozumiała wściekłość – przykucnął groźnie.

Stwór podszedł krok bliżej. Kolejny. Triomed sprężył się.

Stworzenie było w zasięgu ręki, wyciągając fiolkę. Obcy widział, że była ona zakończona kawałkiem stali. Skoczył…

Rozległ się trzask broni. Obcy poczuł huk pocisków wnikających w obudowę mózgu. W panice zaczął wydostawać się z szyszynki. Gdyby śmierć dopadła nosiciela kiedy miał nad nim władzę, on też by umarł. A jeśli on umrze, Triom umrze także.

Poczuł, jak jego ogromne ciało się trzęsie. Z broni rozległ się kolejny wystrzał i wyczuł zbliżający się pocisk – z jakąś, wydawało się bolesną powolnością dla jego wyostrzonych zmysłów. Kręcił się w ciemności. Trafił w oko, roztrzaskał je, przesunął się wewnątrz czaszki, wzdłuż podstawy mózgu...

Triomed poczuł jedno głębokie, palące ukłucie agonii; które było jego jedynym uczuciem, w chwili gdy zmiażdżyła go kula. Ostry, gryzący dotyk metalu był ostatnią rzeczą, jaką czuł przed nadejściem śmierci ...

Policjanci stali w kręgu, wpatrując się w ogromne ciało na dachu z mieszaniną podziwu i ulgi.

— Widziałem go kilkanaście razy w zoo — oznajmił jeden z nich. — Zawsze wydawał się taki… taki spokojny. — Pokręcił głową. — Jak myślicie, co u licha w niego wstąpiło?

Strażnik uniósł głowę z miejsca, w którym klęczał nad potężnym nieruchomym ciałem, zakrwawionym i podziurawionym kulami.

— Czasami tak się dzieje — odparł. — Z gorylami, nigdy nie wiadomo.

KONIEC